

Zdzisława Wilk (Zośka), Jerzy
Prądmowski (Bartłomiej) i Juliusz
Szuster (Paweł) w "Krakowiakach"
i góralach

ZOFIA
SIERADZKA

NOVUM W TEATRZE czyli eksperyment płocki



Był to pierwszy raz dane mi było, tuż po finalnym zapadnięciu kurtyny, wznieść toast, wraz z całą powstałą z miejsc widownią, za dalszą pomyślność nowo otwartego teatru. Toast ów wznieśli przedstawiciele partii i rządu — z ministrem kultury i sztuki Józefem Tejchmą na czele — oraz najwyższe władze miejscowe obok profesorów warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej pod przewodnictwem rektora Tadeusza Łomnickiego. Dalej — przedstawiciele społeczeństwa, rodziny aktorskie, dziennikarze i inni zaproszeni goście. Wszyscy z miejsca, i z głębi serca, wybacząc grzechy inauguracyjnego spektaklu z prawdziwym wzruszeniem zainicjowali tradycyjne 100 lat. Po czym większość gości udała się na okazjonalny bal. Imponujący, huczny, bogaty a przy tym kulturalnie zaaranżowany.

Bo też i święto było niecodzienne nawet jak dla kraju tak kochającego teatr i odczuwającego ciągle nowe sceny. Przyczyn tej wyjątkowości wymienić można kilka: a więc pierwszy teatr w stołecznym województwie z siedzibą poza War-

szawą i to właśnie w Płocku, w mieście najszybciej rozwijającym się w skali krajowej. Dziwnie przy tym bliski to teatr choćby i dlatego, że kierownictwo jego objął Jan Skotnicki, uprzednio prorektor warszawskiej PWST, który ściągnął tu aż ósemkę najmłodszych absolwentów wraz z debiutującymi również reżyserami a nawet kierownikami literackim, także wychowankami uczelni warszawskiej. Nic dziwnego, że przecięcie wstęgi przez Ryszardę Hanin i Tadeusza Łomnickiego miało w tej sytuacji nie tylko swoją wagę i wymowę, ale potęgowało nastrój niemal rodzinnego święta.

A przecież osobliwość tej płockiej chwili nie wiąże się wyłącznie z faktem powołania do życia nowej sceny. Doniosłość wydarzenia polega na tym, że nowo otwarta placówka teatralna — jak zwykle w bólach się rodząca — zainaugurować ma zupełnie nową formę działalności kulturalnej. Nie przypadkiem nosi oficjalną nazwę: Teatr Płocki — Ośrodek Kultury i Sztuki. Postanowiono bowiem, po raz pierwszy, wzbogacić formę oddziaływania teatru, nie ograniczając ich wyłącznie do produkcji scenicznej. W myśl znanej prawdy, że teatr jest sztuką zespołową, a więc skupiającą wokół siebie artystów różnych dziedzin, a także literaturoznawców i socjologów, zdecydowano się na próbę pełnego uruchomienia tego potencjału twórczych możliwości, w działaniach tych daleko wybie-

gając poza rampę sceniczną. Dla dobra niezwykle prężnie rozwijającego się miasta, w którym wzrost produkcji i osiągnięcia ekonomiczne zdystansowały dawno rozwój tak zwanego zaplecza kulturalnego.

Stąd pomysł, by w tej z trudem wznoszonej budowni miejscowego domu kultury, wciąż zmieniającej swoje przeznaczenie, zlokalizować placówkę nietypową — nie teatr i nie dom kultury, ale coś łączącego te dwie funkcje a przy tym bardziej nowoczesnego. Jednym słowem — coś na skalę błyskawicznie rosnącego się miasta, w którym ogromną przewagę mają ludzie młodzi, nie tylko żądni rozryw-

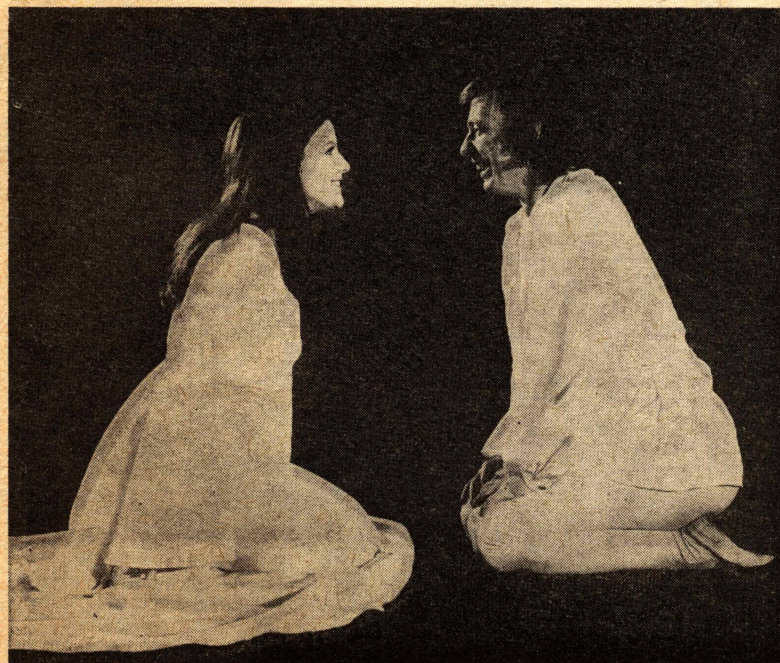
ki, ale także pełni inwencji i entuzjazmu.

Dyrektor Skotnicki ma już na ten temat rozległe i bogate plany. Miejmy nadzieję, że uda mu się je zrealizować i że potrafi stworzyć to, co miastu obiecuje. Bo obietnice wydają się wielce zobowiązujące. Wiadomo, że tylko wtedy będzie mógł swój plan przeprowadzić, jeśli rzeczywiście zdoła rozbudzić fantazję dzieci, zaspokoić potrzeby młodzieży i zyskać aprobatę starszych. I dlatego — szczerze zachwycona idea, która wraz z otwarciem teatru zaczęła przybierać realne kształty — chciałabym przyjrzeć się bliżej inauguracyjnym spektaklom, bo przecież nie dyrektorskie de-

Teatr Płocki — Ośrodek Kultury i Sztuki w Płocku: CUD MNIEMANY czyli KRAKOWIACY I GÓRALE Wojciecha Bogusławskiego. Reżyseria: Jan Skotnicki, kierownictwo muzyczne: Franciszek Barfuss, scenografia: Marian Iwanowicz, choreografia: Jan Uryga;

ROMEO I JULIA Williama Szekspira w przekładzie Jarosława Iwaszkiewicza. Reżyseria: Grzegorz Mrówczyński, scenografia: Jerzy Kowarski

Barbara Grabowska (Julia) i Paweł Hadyński (Romeo) w tragedii Szekspira



klaracje, ale dokonania musimy uznać za fakty.

Na otwarciu nowej placówki wybrano *Krakowiaków i górali*. Któż lepiej od Wojciecha Bogusławskiego pasuje na patrona tego typu działalności, łączącej sztukę z dydaktyką? Od strony repertuarowej zatem strzał w dziesiątkę, podobnie jak i druga inauguracyjna premiera, czyli *Romeo i Julia*. Ale choć słusznie wybrane, wbrew pozorom nie są to, jak wiemy, pozycje łatwe do realizacji. A skoro Teatr Płocki rzeczywiście ma stać się motorem działalności kulturalnej i wzorcem artystycznym, musi dobrze wyważyć, co proponuje i czym dysponuje.

Dowiedzieliśmy się na miejscu, że teatr ma duże kłopoty zakulisowe, między innymi nie posiada na przykład pracowni stolarskiej. Ale nawet największe trudności zaplecza nie mogą tłumaczyć niedostatków scenicznych. Stąd pierwsze pretensje zgłaszam do scenografa i do tego, co nam na scenie proponował. Bowiem w żadnym razie nie powinno się to kojarzyć z amatorszczyzną. Właśnie na nowo otwartej scenie Płocka. I dobrze rozumiem Grzegorza Mrówczyńskiego, reżysera *Romea i Julii*, dlaczego w ogóle z dekoracji i rekwizytów zrezygnował. Ale i w tym wypadku nie wszystkie kostiumy zaprojektowane przez Jerzego Kowarskiego wydały mi się „szczęśliwe”, mimo że trampki w połączeniu ze stylizowanym kostiumem przypominały mi pionierskie lata Skuszanek w Nowej Hucie. Za najmniej udany i najbardziej bałamutny (co gorsze) uznać trzeba kostium księcia. Czyż zderzenie współczesnego ubioru ze stylizowanym kostiumem nie byłoby już wystarczające? Obydwa przedstawienia nasuwają zatem krytyczne uwagi co do oprawy scenograficznej. Przy ambicjach wychowywania plastycznego mieszkańców miasta i prowadzenia stałych wystaw można uznać to za zjawisko niepokojące.

Ale wracajmy na scenę. Dla ożywienia Bogusławskiego konieczny jest nie tylko zamysł inscenizacyjny animujący całość, ale również muzikalność zespołu (ze śpiewem było różnie) i niekłamany wdzięk przynajmniej głównych wykonawców. Jan Skotnicki zastósował chwyt teatru w teatrze, czyli dobudował scenie dwie przeciwstawne boczne loże. Prawa-wsteczna i lewa-postępowa padającymi z nich uwagami mają sztukę w czasie umiejscowić i stanowią tym samym historyczny do niej komentarz. Jakoś to jednak nie wyszło i dodatkowo pociągnęło spektakl w stronę lektury szkolnej. A ponieważ na konferencji prasowej dyr. Skotnicki szczególnie podkreślał dydaktyczno-poznawczą rolę prowadzonej przez siebie placówki, co zresztą wywołać musiało dyskusję (teatr ma już opracowane scenariusze widowisk typu „Oświecenie” czy „Modernizm polski”), warto zwrócić na to uwagę, by znów zamysł szczęśliwy nie tracił przez realizację i miast pozyskiwać widza, nie zrażał go do teatru. Stara to bowiem prawda, że teatr uczy, ale tylko wtedy, kiedy naprawdę potrafi zabawić.

Okazało się również, nie po raz pierwszy zresztą, że prawdziwa



Konrad Morawski (Ojciec Laurenty), Małgorzata Leśniewska (Pani Kapulet), Krzysztof Górecki (Parys), Barbara Grabowska (Julia), Bernard Michalski (Pan Kapulet), Aleksander Gierczak (Pietrek), Jadwiga Bryniarska (Mamka)

młodość nie zawsze jest scenicznym atutem. Debiutująca para, Basia i Stach, wypadła niemal żałośnie. Chętnie tłumaczymy to zrozumiałą treścią, nawet jeśli nie w pełni wierzymy, iż jest to jedyne źródło niepowodzenia. Z kolei również debiutujący w tym spektaklu Bardos zwracał uwagę wyraźną swobodą sceniczną i dobrym głosem. W antrakcie wybuchły między krytykami i aktorami dyskusje, co lepszą zapowiada przyszłość: czy zbyt surowość debiutanta czy coś, co z miejsca można nazwać rutyną? Ano najbliższy już czas pokaże...

A jednak w obydwu premierach prawdziwym blaskiem błyszczały dwie role kobiece, pokazując, ile spektakle te zyskałyby, gdyby klejnotów było więcej. W *Krakowiakach i góralach* Nina Skołuba w roli Doroty podbiła nas swym scenicznym temperamentem i wdziękiem. Nie można było wprost uwierzyć, że zachciało się jej tego Stacha, tak jak uwierzyć trudno, by najniezgrabniejszy nawet chłopak wołał Basię od Doroty. Trochę prawdziwego życia wnieśli na scenę górale, aczkolwiek w samym Bryndasie trudno było rozpoznać Wojciecha Sztokiera, tak jakoś spójniał i wydostojniał. Ale może wraz z wywijaniem hołubców nabierze kondycji, a zarazem niezbędnego w tej roli dynamizmu i werwy.

Jak już wspominałam, reżyser drugiej premiery zrezygnował w ogóle z dekoracji: akcję rozgrywa na podeście zbudowanym pośrodku sali teatralnej, tak że jedna strona widowni stanowi jak gdyby audytorium dworu Montekich, zaś druga — Kapuletów. Pomysł prosty i dobry, a jednak dość długiej drodze każdego aktora na scenę towarzyszyło coraz bardziej denerwujące dudnienie

praktykabli. Na szczęście para młodych kochanków umiała łzej się poruszać, przez co dodatkowo wygrywała. W tych warunkach zamarłam niemal, czekając na pierwsze sceniczne sfrunięcie Julii, a przecież rzeczywiście umiała wbiec tak lekko, że udało jej się pokonać oporną materię.

Ale nie na tym polegało wielkie zwycięstwo aktorki (choć trzeba przyznać, że gdyby każdorazowemu pojawieniu się jej towarzyszyła kanonada kroków, efekt musiałby ulec zmianie). Niezwykle prosto opowiedzianej historii *Romea i Julii* — z zupełnie współczesnym prologiem zwykłej, młodzieżowej bójki, dodatkowo podkreślającej ponadczasowość historii, która rozegrała się między młodymi — Barbara Grabowska potrafiła nadać ton prawdziwej poezji. Rozświetlona od wewnątrz swą pierwszą miłością, pełna młodzieńczego żaru i determinacji była niezwykle prawdziwa i wtedy, kiedy zaczynała kochać i wtedy, kiedy postanowiła umrzeć.

Dopiero zatem w drugim spektaklu zatriumfowała autentyczna młodość, tak charakterystyczna dla płockiego zespołu. I choć Paweł Hadyński nie potrafił w pełni sprostać trudnej roli *Romea*, przecież debiut swój ma prawo uznać za udany. Bowiem nie tylko pokazał różnicę między zwykłym młodzieżowym ponurakiem, jakim był jego *Romeo* przed poznaniem Julii, a szczęśliwym, rozbawionym chłopcem po scenie balowej. Współczesności granej postaci nie sugerował za pomocą charakterystycznego atrybutu, czyli autentycznego wusa, lecz budował ją na psychice swego pokolenia. Wierzyliśmy również, że *Romeo* w tej młodzieńczej miłości odnalazł wreszcie siebie i że tak jak potrafi

umrzeć, umiałby również żyć... Tym bardziej trudno mi się pogodzić, że tak znienacka, tak nieszlachetnie i od niechcenia zabija swoich rywali, ale to już pretensja do Mrówczyńskiego, a nie do Hadyńskiego.

Wydaje się, że tak pomyślany szekspirowski spektakl rzeczywiście może liczyć na silny odzew miejscowej widowni, zwłaszcza młodzieżowej, do której jest wyraźnie adresowany. A to przecież przy wstępnej ofensywie zdobywania publiczności wydaje się sprawą główną. Tylko wtedy będzie się tu przychodzić na planowane spotkania z interesującymi ludźmi i imprezy towarzyszące spektaklom, jeśli i scena dostarczy tematu do dalszych przeżyć i dyskusji. Toteż witając z radością i wzruszeniem pierwszy teatr, który wziął na siebie ciężar odpowiedzialności miejscowego Ośrodka Kultury i Sztuki, oraz doceniając jego ambicje i szerokie plany, życzymy mu, by jednak mierząc siły na zamiary starał się przy wszystkich zadaniach pedagogiczno-upowszechnieniowych nie zapominać o swoich obowiązkach podstawowych. Musi atakować zarówno myślą, jak i formą, musi dawać wzorce, nie zapominając o niezbędnej atrakcyjności.

Miasto, jego władze i kierownictwo największego zakładu przemysłowego dały już niejednokrotnie dowód, że są w tę grę naprawdę wciągnięte. Dlatego teatr powinien dołożyć największych starań, by wygrać tę szansę i dać miastu oraz województwu to wszystko, czego się od niego oczekuje. I to na miarę nowoczesnej myśli i imponującej dynamiki, tak charakterystycznych właśnie dla Płocka.

ZOFIA SIERADZKA